



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

TYKWY OZDOBNE.

Gdyby pod ryciną przedstawiającą tykwy nie było podpisu, niejednen z naszych czytelników spojrzawszy na nią pomyślałby, że ma przed sobą zbiór różnorodnych owoców, przeznaczonych dla ludu o wiele przewyższającego naszą miarę wzrostu, tak olbrzymie i dziwaczne są ich kształty. Owoce te, są to poprostu tykwy, należące do rodziny dyniowatych. Ponieważ są roślinami pnąciami, ponieważ wzrost mają silny, liście duże, przeto używane bywają do obsadzania altan, okrywania ścian, tworzenia festonów. Kwiaty mają białe lub żółte, zapach niezbyt przyjemny, muszkatołowy. Tykwy hodują się głównie dla wielkości i dziwnego kształtu ich owoców, lubo są też i jadalne, dopóki niedojrzałe, a mianowicie można je marynować, faszerować lub zaprawiać jak szparagi. Ciężar tych owoców jest tak znaczny, że rośliny trzeba podierać, a podpory muszą być silne. U niektórych owoce wtedy tylko dorastają swych form naturalnych, gdy się znajdują w położeniu wiszącym, pionowym. Podtrzymywane ze spodu, tracą właściwą formę i spłaszczają się, co niekiedy robi się umyślnie. W ogóle, owoce kępowane w swym wzroście, skręcają się i przybierają formy nieregularne. Można też za pomocą skręceń i odpowiednich przewiązywań, dopomagać im do tego. Owoce wszystkich tykw z początku kosmate, mięsiste, delikatne i bardzo kruche, stają się po dojrzeniu drzewiaste i mogą być przechowywane lat kilka bez zmiany — a po wyjęciu z ich wnętrza nasion i gąbczastej, a raczej włóknistej masy, przydatnej na szczotki do nacierania skóry, można je używać jako naczynia. Indianie nadają niekiedy tym owocom dziwaczne formy, poczem gotują w odwarze niektórych drzew, aby je wzmocnić, i malują różnemi farbami, przyozdabiając nawet rysunkiem; tak przy-



Tykwy ozdobne.

gotowane, stanowią naczynia do wody lub mleka, a nawet do gotowania w nich wody, za pomocą wrzucania rozpalonych kamieni.

U nas owoce te, po zebraniu ich, muszą być umieszczone w miejscu przewiewnym, aby ostatecznie dojrzały i zdrzewniały, do czego bardzo dopomaga oskrobanie i zdjęcie zwierzchniej skórki; zepsułyby się bez tego. Tykwy przedstawione na rycinie naszej, pochodzą wszystkie od dwóch gatunków: *Cucurbita Lagenaria* i *pepo*. Warto im się uważnie przypatrzeć: jedna, podobna do maczugi, zowie się *Palką Herkulesa*; druga wydłużona, zakończona jakby kulką, nosi nazwę *bulawy*; inna, podobna do faszki, nazywa się *banieką*, a jeszcze inna, olbrzymia, podobnego kształtu, znana jest pod nazwą *butli pielgrzymów*. Niektóre znów owoce mają formę rogu myśliwskiego, gruszki, jabłka, pomarańczy, jajka, turbanu, węża, albo też cała ich powierzchnia drobnemi wypukłościami, niby kolcami jest pokryta. Trzymane w ogrodach, największy efekt sprawiają, gdy się pną po drzewach, zwieszając się w girlandy lub festony.

Dojrzałość tykw poznaje się po dźwięku, jaki wydają przy uderzeniu, i po kolorze — stają się bowiem białawo-zielone lub żółte.

Zofia Urbanowska.

Poczekaj jeszcze.

Gdy znikły, zechły śpiewaki Boże,
A w koło dziki wicher szaleje,
Gdy na ponurem niebios przestworze
Świetlany promyk nie zajaśnieje,
Gdy tuman śniegu, jak morską falą
Wznosi się, kłębi, i w dół przewala —
Gdy przez złośliwe jakoweś czary
Głodu i zimna wstrętne poczwary,
Do chaty biednych wchodzą przemocą,
I nad ich dolą ciężką, sierocą,
Potęgi swojej probują siły!...

Jakież ja piosnki mam ci zanucić,
Wesela myśli by nie zakłócić
By obce ci troski były?...

O, nie nalegaj, poczekaj jeszcze!
Czas w locie chyże ma skrzydła —
A mnie dochodzą odgłosy wieszcze,
Że wkrótce pierzchną zimy straszdyła,
Że ciepłe tchnienie wionie po ziemi,
Że niebo błękit znów swój roztoczy,
Że słońce znowu blaskami swymi
Zbudzi stubarwne kwiateczków oczy...

A wtedy razem z naturą całą
Tak odmłodzoną i znartwychwstałą
Owioną życia uroku czarem,
Zaśpiewam tobie radości pieśni
A wtór mi dadzą ptaszki wieści
Nad ziemią całą obszarem.

M. D.

LOSY ADASIA.

przez

Zofię Kawerską.

(Dalszy ciąg).

— Spójrzaj na matkę swoją Adasiu. Od dwóch godzinie ona we łzach. Wyobrażała sobie, że cię jej odnieżywym lub kaleką! Złe to dzieci, z powodu których rodzice łzy wylewają! Takie dzieci nie mają na sobie błogosławieństwa Bożego!

Adaś z łkaniem rzucił się do kolan matki. Zawało mu się, że jej łzy w istocie ciężą na nim jak ołów.

Matka spostrzegła, że był podrapany, pokrwawiony, darty, bosi i nie mogła zrozumieć co się mogło Adasiemu przytrafić.

— Moje dziecko, co się to stało? — zawołała.

— Nic się nie stało — zdołał wyjąkać Adaś w łkaniu — tylko ja byłem głupi, byłem nieposłuszny!

Tu bezładnie począł opowiadać swoją awanturę, a potem spłakany, w objęciach matki, rzekł jej do ucha:

— Już teraz wszyscy się ze mnie śmiać będą, wszyscy mnie będą wytykać palcami, a ja nie będę śmiał nikomu w oczy prosto spojrzeć! Jestem taki nieszczęśliwy jak Korioch! Ale ja mamie coś powiem, tylko jednej matusi powiem, nie będę żył na świecie, ja pójdę do klasztoru.

Tu Adaś rozrzewnił się łosem własnym, łosem matki, dzieńca odrywającego się od wszelkich uciech życia dla zaknięcia się w murach klasztornych i począł łkać jeszcze głośniej.

— No, no — rzekła matka przyeiskując go do piersi — uspokój się moje dziecko! Dobrze, że żałujesz za swoje nieposłuszeństwo i dobrze, że zostałeś za nie ukarany. Co wstąpienia do klasztoru to pomówimy jeszcze o tem.

— Niech mię mama tymczasem gdzie schowa, żebym nie miała Jadzia nie zobaczyła, bo ona się zaraz zemnie będzie naśmiewać! Żebym ja się mógł ubrać. Jeszcze mam jeszcze stare buty!

Pani Bodzicka miała właśnie zabrać Adasia do swego pokoju, by się tam mógł przebrać w tajemnicy przed innymi dziećmi, bo chciała oszczędzić mu wstydu, gdy jeden z wstąpienia do klasztoru to pomówimy jeszcze o tem. przez szukających ludzi. Odszukano wszystko: i czapkę i szalik i całe ubranie, brakowało tylko jednego buta.

— Wszędzieśmy szukali — mówił parobek — przetrzęśliśmy wszystkie krzaki, wszystkie chrusty, a drugiego buta nie ma. Jasiu mówi, że te buty ze sześć rubli warte.

— Trzeba będzie jeszcze jutro poszukać — rzekła pani Bodzicka — a teraz idź na kolację mój Walku. Dzięki ci wam wszystkim, żeście tak chętnie stanęli nam do pomocy.

Nazajutrz Adaś miał przeprawę z panem Bodzickim, który mu oznajmił, że ponieważ Mynia ukradzioną zostawił z jego winy, więc konia odtąd mieć nie będzie. Adaś uznał, że to była słuszna kara i postanowił w duchu a nawet wzruszył się z tem matce, że gdy pójdzie do szkół a dojdzie do wieku w którym będzie mógł dawać korepetycje, będzie dawał w takiej liczbie i z takim zapalem, że wkrótce będzie mógł zwrócić pieniądze za straconego Figla i odkupić dzieństwo kuca w rodzaju Myni. Nadzieja takiego zwrotu tak się dobrze wbiła w jego głowę i tak dobrze w jego serce, że obrażni się ustaliła, iż mu się często zdawało, że pieniądze Figla leżą już w biurku ojcowiskim i że w stajni grzebie nogą kuc przesłizny, spasiony przez dzieci jak niegdyś spasioną była Mynia.

Dzieci wszakże nie mogły tak jak Adaś stworzyć kuca za pomocą wyobraźni. Załowały bardzo Myni. Maryja

ukrywała swój żal, żeby nie martwić Adasia, Jadzia zaś przy każdej okoliczności przypominała bratu jego niefortunną wyprawę. Nie było końca jej przycinkom, jej żartom, jej złośliwości. Mówiła nawet, że gdy będzie trochę starszą opíše całe zdarzenie i poda je do „Wieczorów rodzinnych” a nawet uprosi pannę Zawrzecką, która przesłownie rysowała, by dorobiła do każdej sceny obrazki. Obrazków tych miało być kilka. Jeden miał przedstawiać Adasia wjeżdżającego do miasteczka z miną wesołą i swobodną; drugi: to Adaś wjeżdżający z papierosem w ustach z miną butną i zarozumiałą, trzeci: Adaś mdlejący; czwarty: Adaś leżący na trawie i zlewany wodą przez Jaska; piąty: Adaś pokrzepiający się wódką nieznanym i tak dalej aż do chwili złapania zdziczałego Adasia przez Marcina.

Adaś czuł się bardzo nieszczęśliwym ile razy Jadzia stroiła z niego żarty w czem jej dopomagał mały Józio, który też silił się na koncepta.

Pan Siewroński był teraz bardzo ze swego ucznia zadowolony. Lekcyje szły jak z płotka, chłopiec był jak z wosku, wszystko szło jaknajlepiej.

Jesień stawała się bardzo zimna i wilgotna. Deszcz lał nieustannie prawie, wieczory były długie, dzieci mało mogły odbywać spacerów, Adaś tylko, jako starszy, nawet w dni słotne wychodził, miał bowiem pelerynę gumową, nieprzemakalną.

Pewnego dnia po obiedzie, szedł on właśnie ku stajni stąpając powoli po błocie w wysokich kaloszach, gdy go uderzył widok niezwykle. Drogą szedł właścianin prowadząc za uzdę osła małego i wychudzonego, popychanego z tyłu obydwojma rękami przez kilkunastoletniego chłopaka.

— Aci, cóż to za nieszczęśliwy osiel! — zawołał Adaś do Marcina, który właśnie wyszedł na próg stajni — To biedne zwierzę ledwie się wlecze! Trzeba je popychać z tyłu, a ciągnąć z przodu!

— A może taki uparty — ozwał się Marcin spoglądając na drogę — bo to osły to mają naturę upartą i nie czują w sobie żadnego honoru. Cóż to za ludzie tacy? Ja ich nie znam! Ale to nie osiel, kłaczysz to jaka szkapa co jej się aby należy kulą w łeb! Może to prowadzą na kości do cukrowni, bo taki koń to aby na to się zdał! To się od wiatru chwycie i ledwo nogami pociąga.

Adaś począł się sprzeczać z Marcinem.

— To nie koń to osiel! I maść nie końska i takie to małe, jakieś kudłate!

Marcin patrzył i patrzył. Ręką oczy przysłaniał, szyję wyciągał, wreszcie zawołał:

— To panicz nie poznaje Myni?

Adaś zaczerwienił się jak burak ze wzruszenia.

— Ale gdzież to do Myni podobne? — zawołał. — To jakieś nieszczęśliwe zwierzę zdychające!

W tem nagle ozwało się przeciągłe rżenie, rżenie bolesne i radosne zarazem, rżenie w którym zawierała się skarga i powitanie rozrzuwnione. Przynajmniej tak jego dźwięki przetłomaczył sobie Adaś, który biegł o ile mu na to błoto pozwalało, ku prowadzonemu drogą zwierzęciu.

— Mynia! — wołał — Mynia, moja biedna Mynia!

Na jego głos Mynia porwała się nagle do prędkiego biegu. Nie spodziewający się takiego wybryku właścianin wypuścił sznur kantara z ręki. Mynia w galopie przybiegła do Adasia i padła u nóg jego, potknąwszy się z powodu bezsilności. Adasiowi wydało się, iż Mynia kona. Objął jej szyję, starał się unieść jej głowę wołając:

— Marcinie wody; wody na miłość Boską!

Marcin podbiegł, ale machnął tylko ręką.

— To na nie! To się już nie odpasie! To na śmierć zabiedowana! Nawet podczas obłężenia Baru ludzie by z tego krupniku jeść nie chcieli!

— Może odżyje, może ona tylko zemdlą! — wołał Adaś.

Po długiej chwili Mynia otworzyła oczy. Adaś z pomocą Marcina i Jaska podnieśli ją i do stajni zaprowadzili. Adaś prosił by ją postawiono na jej dawnym miejscu, gdzie

poczuwszy świeżą słomę pod nogami natychmiast się położyła.

— Nie z niej nie będzie! — ozwał się Marcin z miną Kasandry przepowiadającej upadek Troi.

— Trzebaby posłać po doktora! — mówił płacziwie Adaś.

Tymczasem ludzie, którzy przyprowadzili Mynię, opowiadac zaczęli jakim sposobem ją znaleźli. Oto dnia poprzedniego ojciec z synem pojechali po drzewo do lasu i zobaczyli biedne konające zwierzę, które widocznie biegnąc przez gęstwinę leśną, zaplątało się strzemionami siodła i trędzłą tak mocno w gałęzie, że się ruszyć nie mogło. Obgryzło z głodu wszystkie drobniejsze gałązki, trawę do której dostać mogło, nawet korę z drzew i z grubszych gałęzi, ale uwolnić się z więzów nie było w stanie.

Jakie były losy Myni, dla czego uciekała przez las, kiedy się w gałęzie zaplątała, od jak dawna cierpiała głód, tego wszystkiego nikt się nigdy nie dowiedział. Można było się domyśleć, że wedle zwyczaju swego zdołała oszukać czujność złodziei i wracała co tchu do Słomieńca biegnąc przez las dla skrócenia sobie drogi. Ten pośpiech zbyt przyprawił ją o niebezpieczeństwo życia o które teraz poczęły drżeć wszystkie dzieci.

Dowiedziawszy się, że Mynia była w stajni dziewczynki i Józio uprosili pani Bodzickiej, by im pozwoliła pójść zobaczyć biedną kucę. Zniesiono jej chleba, cukru, jabłek, soli bo to wszystko namiętnie lubiła. Polizała tylko trochę soli i przyjęła kawałek cukru, innego pożywienia do pyska nie wzięła. Zdawało się, że nie miała siły nawet na jedzenie.

Wieczorem, po lekcyach, Adaś znowu z pozwoleniem nauczyciela poszedł do stajni z panem Ożycem, który niósł latarkę w ręku. Zastali Mynię rozciągniętą na słomie i Jaska podającego jej do pyska po małym kłaczku koniczyzny, którą ona, jakby z łaski, po trochu skubała. Z boku stał Marcin z miną zarazem dowcipną i butną, którą był winien w części swemu zadartemu nosowi, w części małemu wzrostowi wiecznie się wyższym wydać usiłującemu. Przyglądał się karmieniu kuce, a potem wyrzekł podczas gdy ramiona rosły mu wyraźnie:

— Bo ta koniowi to nigdy nie trza dowierzać. Ta szkapa już niby wczoraj zdychała, a dziś je już półgębkiem jak jaka panienka ze dworu.

Mynia jednak była bardzo jeszcze osłabiona i głowy podnieść nie mogła. Zagłodzenie uczyniło ją zupełnie bezsilną. Gdy opowiedziano Józiovi o stanie w jakim się znajdowała, prosił pani Bodzickiej by posłała dla Myni poduszkę pod głowę, z czego się wszystkie dzieci potem naśmiały serdecznie. Nazajutrz, gdy dano dzieciom na podwieczorek jabłka, gruszki i winogrona, Józio odstawił swój talerzyk.

— Nie będziesz jadł owoców? — zapytała matka.

— Zanioś je Myni — odpowiedział.

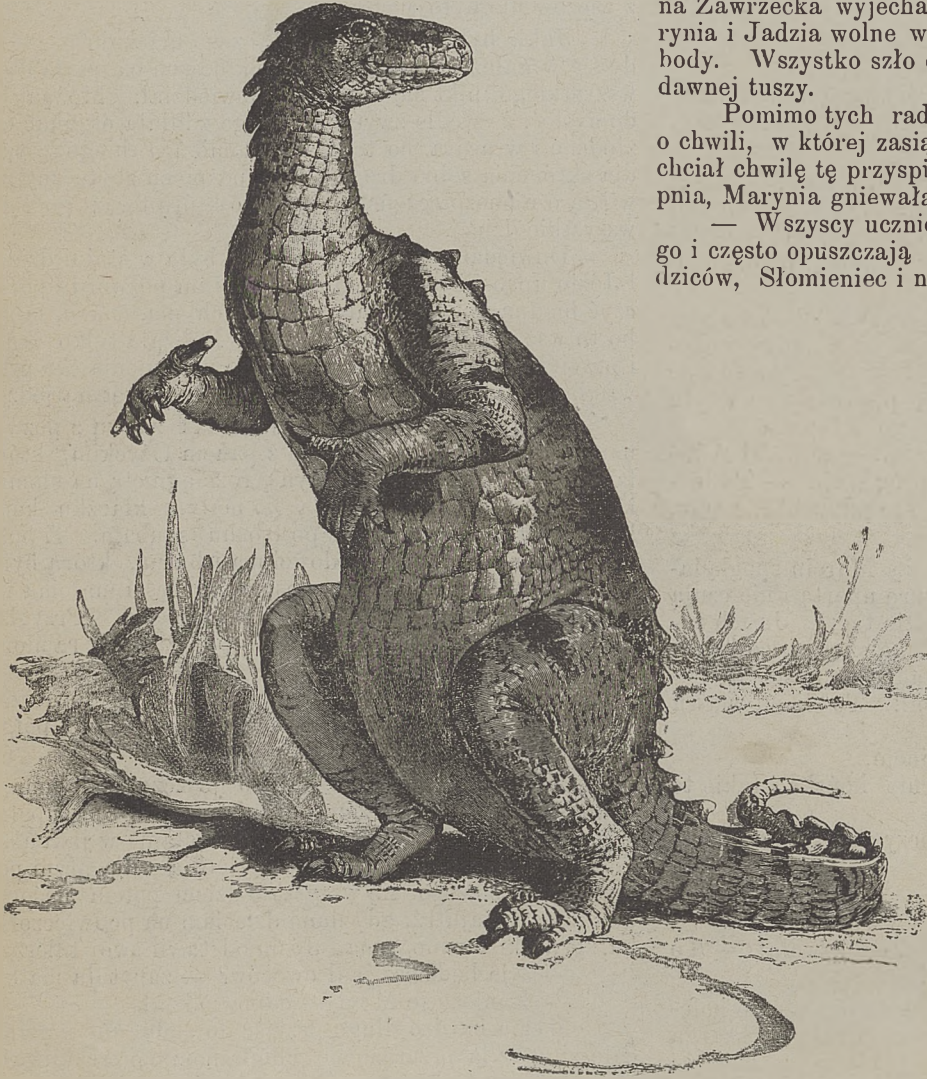
Mynia bardzo długo przyjść do siebie nie mogła! Przez całą zimę była przerożliwie chuda pomimo troskliwości dzieci. Dopiero pod wiosnę zaczęła nabierać ciała i obiecywać swoim wyglądem, że przy staraniu otaczających, dojdzie kiedyś do dawnych kształtów. Powracała powoli do swojej zawodackiej miny, a krynbrność jej i opór zamiast się umitygować w nieszczęściu, wzrosły jeszcze i spotęgowały się. Ale kochano ją z jej wadami, a jej długie cierpienia jeszcze droższą ją dzieciom czyniły.

Adaś sprawował się nieźle. Zdawało się wprawdzie, że z powodu zaniedbania się w pracy obiad Adasia stał długo ostygły czekając na niego, że się lekcyje poobiednie przeciągały, że pani Bodzicka narzekała na wymagania zbyt wysokie pana Siewrońskiego, ale kurs 1-cj klasy. Adaś przechodził już po raz drugi, a uniał go jak pacierz. Żeby go kto w nocy obudził a kazał deklinować po łacinie. Był od razu wyrecytował bez omyłki całą litanję. Gdy go o co z nowego kursu zapytano, odpowiadał bez zająknięcia a pan Siewroński jeszcze powtarzać kazał, a nawet dla ułatwienia potem pracy Adasiowi przechodził z nim kurs klasy 2-cj. W czerwcu Adaś pojechał do Warszawy z panem Siewrońskim i zdał świetnie

egzamin. Przyjęto go do klasy drugiej. Adaś uszczęśliwiony wrócił do domu. Był dumny ze zdanego tak znakomicie egzaminu, a uradowany myślą swobody większej, jakiej miał używać podczas wakacyj. Pan Siewroński zostawał jeszcze do września w Słomieńcu, ale Adaś miał z nim odbywać tylko dwie godziny lekcji dziennie zamiast pięciu.

Pani Rodzicka podziękowała panu Siewrońskiemu za egzamin Adasia i dodała:

— Muszę się teraz przyznać panu, że nieraz utyskiwałam na surowość pana względem Adasia, ale teraz widzę, że była ona potrzebna, a nawet konieczna, kiedy dzięki jej Adaś zdał tak świetnie.



Iguanodon.

— To dopiero początek — odrzekł nauczyciel — Daj Boże, by lekkość Adasia była na dobre zażegnana i by miał dość silnej woli, by swoje dobre postanowienia mógł do skutku doprowadzić.

Adaś postanowił być pierwszym uczniem przez wszystkie klasy.

— Proszę panuncia — zapytywał pana Siewrońskiego — czy ja mogę być pierwszym uczniem? Czy ja mam dosyć na to zdolności?

— Zdolności, zdolności... — mówił nauczyciel — nie zdolności robią pierwszych uczniów ale praca! Żebyś miał mniej zdolności może byłoby lepiej, bo byś się na nic nie spuszczał. Wykuć każdą lekcję tak, żebyś czuł, że ją umiesz celująco i dosyć! Czy cię nauczyciel wyrwie czy nie, czyś wczoraj odpowiadał czy nie, ty się dziś naucz wszystkiego

tak, jak gdyby cię wyrwać miano. I tylko tyle! I będziesz pierwszym uczniem! Tylko nigdy nie mówić „jakoś to będzie” nigdy nie mówić „jeszcze będzie czas!” bo to od takich słów dostawał się człowiek dawniej na oślą ławę a teraz kiedy oślej ławy już niema, to już zbiera pałki i dwójki, a w końcu w tej samej klasie na drugi rok zostaje!

To dopiero były przyjemne wakacje! Żadnego kłopotu na głowie, żadnej troski, a zadowolenie bez granic! Chłopiec nie miał przed sobą egzaminu, nie przygotowywał się do lekcji, a tylko przez dwie godziny dziennie pracował trochę z panem Siewrońskim, który teraz taki był dobry, że go do rany przyłóż!

Rodzice też pragnęli Adasiowi dać jaknajwięcej przyjemności, to też teraz w Słomieńcu był prawdziwy raj. Panna Zawrzecka wyjechała na dwa miesiące do rodziny. Marynia i Jadzia wolne więc były od lekcji, korzystały ze swobody. Wszystko szło dobrze, bo nawet Mynia powracała do dawnej tuszy.

Pomimo tych radosnych wakacyj, Adaś często myślał o chwili, w której zasiądzie w szkole wśród kolegów. Jużby chciał chwilę tę przyspieszyć i ujrzeć dobiegający koniec sierpnia, Marynia gniewała się za to na niego.

— Wszyscy uczniowie tak wzdychają do domu rodzinnego i często opuszczają go ze łzami, a tobie pilno opuścić rodziców, Słomieniec i nas wszystkich.

(d. c. n.)

SPRAWOZDANIE Z OBJAŚNIENIA OBRAZKA.

(Dokończenie).

12 letnia *El-K.* poznajamia nas z trojgiem dzieci: Kazio biedny, ale szlachetnych skłonności, nie chce odstąpić chorej matki, i pielęgnuje ją troskliwie. Stosując się jednak do jej woli, jedzie z bogatym wujem, który oceniając jego dobry charakter, pragnie go wychowywać razem z dziećmi swemi, Stasiem i Lunią. Staś powolny radom rodziców, przyjmuje gościnnie ciotecznego brata, dzieląc z nim chętnie zajęcia i zabawy, ale dumna Lunia, widzi w nim tylko ubogiego krewnego, którego lekceważy i stroni od niego uparcie. Niebawem jednak przekonywa się, jak niesprawiedliwe były jej uprzedzenia: Podczas liczego zebrania dzieci bawią się wesoło w altance ogrodowej, wtem lampa przez nieostrożność wywrócona wzniesła pożar, i gdy w gólnym popłochu wszyscy myślą tylko o własnym ratunku, Kazio jeden pamięta o nieprzytomnej z przerażenia siostrzyczce, i wynosi ją szczęśliwie z płomieni. Lunia uznaje wtedy błąd swój i tkliwym przywiązaniem usiłuje nagrodzić cioteczemu bratu niezycliwe poprzednio obejście swoje.

13 letnia *Zubka* z nad Bystrzycy wysnuła z obrazka dzieje dobrej, szlachetnej dziewczynki Stefci, która choć wypieszczona jedynaczką, otoczona dostatkami, z zbytkiem, szczęśliwą jest gdy może z biedniejszymi dary losu dzielić. Raz widząc ubogiego Piotrusia płaczącego gorzko nad chorobą matki i niedolą małych siostrzyczek, otrzymawszy zezwolenie swojej mamy, zebrała zabawki, stare sukienki, a po chwilowej walce wewnętrznej, wyjęła nawet ze skarbonki cztery ru-

ble, które dostała na gwiazdkę na urzeczywistnienie dawno upragnionej przyjemności. Wszystko to zaniósł Piotrusiowi, mówiąc: pieniądze masz na lekarstwa dla chorej matki, a zabawki i sukienki dla siostrzyczek. Po pewnym czasie gdy matka Stefcia wieczorem wyjechała w sąsiedztwo, nauczycielka spała już na dole, a Stefcia sama jedna pozostała w sypialni na górze, od lampy nieuważnie przez służącą postawionej na oknie, zajęły się franki i ogień niebawem objął całe górne piętro. Nauczycielka przebudzona, z przerażeniem spostrzegła nieobecność uczennicy, wołała o ratunek, ale nikt nie śmiał wstąpić na płonące schody. Piotruś wtedy rzucił się w ogień i sam ponosząc ciężkie obrażenia, wyratował ukochaną panienkę. Widząc ją bezpieczną, sam

rozgniewanego słusznie profesora, póki dla winowajcy przebaczenia nie wyprosił, a krnąbrnego towarzysza skłonił do szczerego żalu i poprawy.

13 letnia *Murzynka* opowiada, o kapryśnej i samolubnej Maryni, którą matka wcześniej odumarkała, a ojciec w wychowaniu jedynaczki spuszczał się jedynie na opiekę cudzoziemskich bon i guwernantek. Gdy już dziewczynka miała lat dziewięć, ojciec jej musiał przyjąć do domu małego siostrzeńca swego, Kazia, którego rodzice polecili mu umierając. Z początku Maryna cieszyła się z przybycia kuzynka, ale spostrzegłszy, że nie myśli ulegać jej kaprysom, zaczęła mu dokuczać, oskarżać niesprawiedliwie chłopca przed wujem, który widząc ciągle nieporozumienia między dziećmi przez



Benares.

z bólu postradał zmysły. Gdy po długim omdleniu odzyskał przytomność, ujrzał pochyloną nad sobą Stefcie, dziękującą mu z głębi duszy za jego poświęcenie. „Nie dziękuj panienko — wyrzekł z prostotą — byliśmy głodni, nakarmiłaś nas, datkiem swoim ratowałaś matkę naszą w chorobie, szczęśliwy jestem, że mogłem ci się odwdziżyć.

13 letnia *Borówka* porównywa pożar przedstawiony na obrazku, do szkód jakie wyrządzają złe namiętności ogarniające duszę człowieka, a na dowód tego przytacza przygodę swego braciszka, który niewątpliwie w roli szlachetnego Kazia musiał występować. W klasie niesforny, nieposłuszny Karolek ściągnął na siebie gniew nauczyciela, i miał być za karę wydalony. Poczeiwy Kazio usiłował go na dobrą drogę sprowadzić, lubo za usiłowania jego Karolek obelgami i złem obejściem mu odpłacał. Nie zrażony tem chłopiec, widząc jak wielkie nieszczęście groziło koledze, póty błagał

stronność dla córki przyznając jej słuszność, zniechęcił się do siostrzeńca. Takie było położenie rzeczy, gdy wypadkiem wybuchł pożar w domu podczas nieobecności samego pana. W popłochu służba strwożona zapomniała ratować śpiącej na górze panienki. Kazio pierwszy spostrzegł jej nieobecność, domyślił się grożącego kuzynce niebezpieczeństwa, rzucił się w ogień i po chwili poparzony, osmolony, ale promieniejący radością i tryumfem, wyniósł dziewczynkę nieprzytomną ze strachu. Gdy przysła do siebie i dowiedziała się, że ten, którego prześladowała złośliwie, uratował jej życie, wstyd, żal i wyrzuty sumienia zbudziły się w jej sercu; wyznała ojcu po jego powrocie do domu, całą prawdę i od tej chwili biedny sierota pozyskał u wuja troskliwego opiekuna, a w Maryni kochającą siostrę.

13 letnia *Cyganeczka* z nad Narwi opisuje pożar miasta; strażacy widząc ratunek jednej części domów niemożliwy,

IGUANODON.

Potworne zwierzę z łapami i ogonem płazu, które przedstawia nasza rycina, należy do dawno już zaginionych przedpotopowych gatunków. Jest to tak zwany Iguanodon. Jeden ze szkieletów podobnych zwierząt, jakie napotymano różnemi czasy, bądź to na wyspie Wight, bądź też w Anglii, a nawet i Belgii, odnaleziony przez uczonego naturalistę Mantelę i doprowadzony do wyrazistej całości, został przez niego dokładnie opisany i pomieszczony w British Muzeum, pod nazwą Iguanodon Manteli. Wzrost jego od łba do końca ogona, wynosi 60 stóp przeciętnie, w pasie zaś trzyma około piętnastu stóp obwodu. Żęby jego odznaczają się szczególną właściwością, są bowiem trójkątne, przeznaczone przypuszczalnie jedynie do chwytania i żucia pokarmów i łatwo ulegają starciu; podczas gdy dziwnie wydłużony kształt głowy, oraz ostre pazury, stanowiące uzbrojenie kończyn, nasuwają domysł, że iguanodon jakkolwiek zaliczony przez uczonych do rzędu zwierząt roślinożernych, musiał być w swoim czasie bardzo groźnym nieprzyjacielem, dla wszelkich słabszych od siebie żyjących istot.

BENARES.

Benares piękne miasto Indyi Wschodnich, nosiło w głębokiej starożytności nazwę Varinasi, albo Kasi, co znaczy: „Świętne.” Położone na lewym brzegu olbrzymiej rzeki Gangesu, ma przeszło 30,000 domów i do 200,000 mieszkańców różnej narodowości. Wpółśród niezliczonego mnóstwa pagód i meczetów, odznacza się również wspaniałą, jak oryginalną budową, przepyszny meczet Aureng-Zeybu. Znajduje się tutaj także starożytne obserwatorium indyjskie, cenione wysoko przez uczonych Europejczyków.

Jako stolica braminizmu i cel pielgrzymki pobożnych jego wyznawców, Benares mieści w sobie wielką liczbę bonzów i kapłanów indyjskich, oraz posiada kollegium, do którego uczęszcza po kilkuset studentów.

Kwitnie tu również handel przedmiotów najwyższej wartości, gdyż poważne firmy kupieckie ustanawiają ceny kosztownych kamieni na całą Azję, a lekkie tkaniny znane pod nazwą muślinów i bengalów, a obok nich najdroższe szale i materje wełniane, rozechodzą się ztąd po całym świecie.

Lew świętego Marka

(z ANGIELSKIEGO E. A. Henty)

przekład K. P.

(Ciąg dalszy).

— Musicie jednak przyznać, że dawniejsze wasze postępowanie dało powód do podejrzenia. Byliście wygnani na dwa lata za zabójstwo, a wiadomości jakie otrzymywaliśmy o was z Konstantynopola, nie były tego rodzaju, abyśmy mogli zmienić zdanie o was. Gdyby nie to, wygnanie wasze byłoby znacznie krótsze.

usiłują tylko dalsze budynki od niszczącego żywiołu ochronić. Naraz w oknie jednego z domów objętych płomieniem ukazują się postać dziewczynki skazanej, jak się zdaje na śmierć niechybną, nikt niema odwagi podążyć jej na ratunek, gdy w tłumie z ust czternastoletniego chłopca, wydziera się okrzyk: to moja siostra! Brat w rozpaczy rzuca się w płomienie, choć przytomni ludzie usiłują go powstrzymać, dowodząc, iż bezskutecznie życie swoje poświęca. Dzielnny chłopak jednak nie zważa na ich mowy, oślepiiony niemal od iskier i dymu, dosięga miejsca, gdzie schroniła się jego Alinka, chwytając ją na ręce i osłaniając sobą, dąży z nią do wyjścia, byłby jednak padł ofiarą poświęcenia braterskiego, gdyby ludzie zachęceni jego przykładem, nie pospieszyli mu z pomocą. Stał odwagę swoją przypłacił ciężką chorobą, odzyskawszy przytomność z pierwszym słowem zwrócił się do siostry, którą kochał nad życie, i którą potem nie przestawał opiekować się troskliwie.

14 letnia *Rozarita* uczuciem szlachetnej zemsty tłomaczy pobudki, które skłoniły Tola do ratowania Cesi w czasie pożaru. Chłopczyk i dziewczynka chociaż cioteczne rodzeństwo, niepodobni byli usposobieniem do siebie. Tolo łagodny, uprzejmy, starający się nagrodzić najłżejszą przykrość wyrządzoną drugiemu, Cesia gwałtowna, obrażająca się o lada frazkę, nieposłuszna względem starszej siostry Amelki, zastępującej w domu miejsce zmarłej matki, zazdrosna o każdy dowód życzliwości jakim ojciec lub siostra darzyli biednego sierotę. Gdy więc została wyratowaną z płonącego domu przez braciśzka, z którym tak niegodnie się obchodziła, Cesia rozumiała, że poświęceniu jego jedynie zawdzięcza życie, zarzuciła mu rączki na szyję, z pokorą wyznając winę swoją. Czy ty i Amelcia będziecie jeszcze mogli mnie kochać? zapytała nieśmiało, postaram się z wad moich poprawić! Nie należy wątpić, że dotrzymała słowa.

Na pochwały zasługują wyjaśnienia obrazka, jakie nastąpi: 8 letni Strumyczek leśny. 8 letni Niedolega. 10-cio letnia Wisienka z pod Prasnysza. 10 letni Duch puszczy. 10 letnia Konwalijska z Warszawy. 10 letni Pierwszoklasista. 10 letnia Mrówka. 10 letni Rybak z nad Wisły. 11-to letnia Westalka. 12 letni Runianek polny. 12 letni Wróbel. 12 letnia Mucha. 12 letni Pędziwiatr. 12 letnia Wróżka. 13 letnia Eleonora Sokołowska. 13 letnia Jakaś z nad Łydyni. 13 letnia Wajdelotka. 13 letnia Ułanka z nad Kaniny. 13 letnia Żabka Teterowska. 13 letnia Zula. 14 letnia Litwinka.

Pochlebne bardzo wyróżnienie należy się tłomaczeniom pobudek, skłaniających na obrazku chłopczyka do niesienia pomocy zagrożonej ogniem dziewczynce: 8 letniej Pliszki. 9 letniej Anidzie. 10 letniemu Rusałce. Wajdelotce. Kaziowi Gozdawie. 10 letniej Poczwarcie. Mrówce litewskiej. Pociomce. 11 letniemu: Skowronkowi. Musze. Konwalijsce leśnej. Wisience z Warszawy. 12 letniemu: Idzie. Figlarce. Wiochnie z pod Wielunia. Trajlotce. 13 letniemu: Pajęczynie. Jasnowłosej. 14 letniemu: Podlasiance. Łomnicy. Niezapominajce. Bez lat, Fiolkowi.

Dobrze bardzo wywiązali się z zadania: 8 letni Przyjaciół botaniki. 9 letnia Wisienka, 10 letni biały Wrzos. bez lat Tygrys królewski. 10 letnia Czerwona wisienka. 11-to letni: Pierwiosnek z nad Warty. Konwalijska z nad Bachory. Łątka. Konwalijska z muromskich lasów, bez lat Srocza. 12 letnia Wysepka. 13 letni: Nadzieja. Srocza podlaska. Czajka. 13 letnia Halina Chojnowska. 13 letnia Stokrotka z nad Oki. Bławatek. 14 letni: Skrzętna pszczołka. Słowiczek z nad Lubiany. Góralka z pod Czarnohory.

Dobre dali wyjaśnienia: 9 letnie: Michalina. 9 letnia i Doda 10 letnia Malinka litewska. 11 letnia Nieszawianka. 12 letnie Białe światło i Białoruska sroka. 11 letnia Wiewiórka i 13 letni Łabędź, lubo znaczenie obrazka odmiennie pojęli, ale wyjaśnienie swoje gładkiem piórem nakreślili.

— W każdym razie mogę z łatwością przekonać waszą Wysokość, że nie brałem udziału w porwaniu pańien Polani. Do trzeciej z rana grałem w kości z przyjaciółmi, a wątpię aby o tej godzinie córki znanego signora były w mieście.

— O której godzinie zebraliście się?

— O dziewiątej. Spotkaliśmy się na placu i pieszo poszliśmy do mojego domu.

Ruggiero nazwał sześcioro młodych ludzi, i wnet doża wydał rozkaz, aby się stawili przed Radą.

— Tymczasem powiedz mi Messer Franciszku Hammond, czy nie poznajesz w oskarżonym jednego z napastników?

— Nie, wasza wysokość — odparł Franciszek. — W każdym razie nie jest on przywódcą, któremu uderzył wiosłem w czolo. Ślad musiał dotychczas pozostać.

Podczas gdy Franciszek mówił, Ruggiero patrzył na niego przeszywającym wzrokiem, w którym malowała się niepokohamowana nienawiść, nasz bohater uczył dreszcz wstrząsający całym jego ciałem.

Przez kwadrans trwało milczenie; przerwało je wejście jednego z młodych ludzi, za nim weszli inni i wszyscy zaświadczyli, że Ruggiero Mocenigo spędził z nimi cały wieczór, i że począwszy od dziesiątej do drugiej po północy, ani na chwilę nie opuścił pokoju.

— Teraz, kiedyście przesłuchali moich przyjaciół — rzekł Ruggiero — ośmielę się zapytać przewielebną Radę, czy to się godzi, aby człowiek znanej rodziny, był pociągany do odpowiedzialności na podstawie błahego oskarżenia.

— Signor Polani, pan słyszał odpowiedzi świadków, czy pan cofnie oskarżenie?

— Przyznaję, wasza wysokość, że Ruggiero Mocenigo dowiódł nam, iż nie brał osobistego udziału w napadzie, ale to wcale nie dowodzi, ażeby nie był jego sprawcą. Wiedział on dobrze na kogo padnie podejrzenie i dlatego postąpił w ten sposób. Ja jednak utrzymuję, że on a nie kto inny usiłował porwać moją córkę. Dowodzą tego jego groźby, i to, że moja córka będzie kiedyś bardzo bogatą, a Ruggiero gwałtownie potrzebuje pieniędzy, gdyż się już zadłużył. W ten sposób zemściłby się na mnie i poprawiłby swoje interesy, żądając za wyzolenie jej okupu, nie sam, lecz przez kogoś, którego by na swem miejscu podstawiał.

Radcy porozumieli się pomiędzy sobą, poczem doża powiedział:

— Niech strony odejdą, my tymczasem wydany wyrok ogłosimy go we właściwym czasie.

— Ruggiero się wywinie — rzekł signor Polani idąc przez plac z towarzyszami — ma on zbyt silnych stronników w Radzie i chociaż nasze podejrzenia są bardzo uzasadnione, jednak dowodów stanowczych nie mamy. No, ale niema co o tem mówić. Signor Francesco mam nadzieję, że zechcesz przyjąć razem ze mną do mego domu, gdyż chciałbym ci formalnie przedstawić moim córkom: biedaczki były wczoraj tak przełknięte, że nie podziękowały ci jak należy za ratunek. Matteo, chodź z nami.

Przez trzy dni Rada nie dawała znaku życia, nareszcie w czwartego dnia rano, przyszedł rozkaz do Franciszka, aby stawiał się na dziewiątą godzinę. Nasz bohater zeszedł ze schodów i spostrzegł zamkniętą gondolę, z której wychylił się woźny i kazał mu usiąść przy sobie.

— Mógłbym pomyśleć, że mnie uważają za więźnia — rzekł w duchu Franciszek; — nie wiem jednak dlaczego, bo gdyby nawet Ruggiero dowiódł swojej niewinności, to na mnie winna nie spada, gdyż nikogo nie oskarżałem. Jednak płynięny w kierunku więzienia.

Łódź przepłynęła wzdłuż Piazzetty, zwróciła w kanał przy pałacu i zatrzymała się przy moście westchnień. Franciszek i jego towarzysze weszli przez bramę i minęli kilka korytarzy aż doszli do drzwi przy których stała straż. Woźny wymówił hasło i drzwi się otworzyły.

Pokój, do którego ich wprowadzono, miał ściany całym nagie i sufit sklepiony. W jednym rogu, na płycie kamienniej leżała postać ludzka, przykryta płaszczem.

Czterech członków Rady stało opodal i rozmawiało półgłosem. Signor Polani z jednej strony stał tak swoich

dwóch przyjaciół, a z drugiej strony Ruggiero, który teraz zdał się Franciszkowi znacznie mniej pewny siebie.

— Posłaliśmy po was, Franciszku Hammond, abyście zobaczyli ciało utopionego w Wielkim kanale.

Jeden z obecnych zdjął płaszcz i ukazał nieżywego młodzieńca na płycie kamienniej. Leżał on na wznak i miał na lewej skroni ślad uderzenia i skórę zdartą.

— Czy go poznajesz?

— Nigdy nie widziałem tej twarzy, nie wiem kto to jest.

— Czy rana na skroni jest taką, jaką zadałeś swojemu przeciwnikowi w czasie walki?

— Nie wiem jakiego rodzaju ranę zadałem, gdyż napastnik zniknął pod wodą. Wiem tylko, że go uderzyłem wiosłem w lewą skroń. Dla tego też utrzymywałem, że nie signor Ruggiero prowadził swoich ludzi, gdyż inaczej on byłby zraniony.

— Spójrz na suknie. Czy tak samo był ubrany twój napastnik?

— Wszyscy byli ubrani w czarne suknie, tak jak ten jedną rzecz zauważyłem, ale jej tu braknie. Oto w chwili, gdy podnosił wiosło, błysnął mi za pasem sztylet, o rękojeści złotej, nabijanej drogiemi kamieniami.

— Pokażcie sztylet znaleziony na nieboszczyku.

— Czy to ten? — zapytał senator Franciszka.

— Nie mogę twierdzić, że to ten sam, ale, w każdy razie zupełnie jest do tamtego podobny.

— A więc zestawmy fakty: Rana na skroni, podobny sztylet i to, że ciało pozostawało w wodzie przez trzy dni — nie więcej — czyż nie daje ci pewności, że ten i napastnik to jedno i to samo.

— Tak przypuszczam, panie.

— Możesz już odejść; a my dziękujemy ci, żeś dał świadectwo prawdzie.

Franciszka odprowadzono do gondoli i odwieziono do domu. W godzinę później nadszedł pan Polani.

— Już sprawę skończono — wyrzekł — nie powiem ażeby zupełnie zadawałnając, ale w każdym razie Ruggiero będzie ukarany. Po twojem odejściu przeszliśmy do pałacu i tam się znów Rada zebrała. Ciało znalezione w kanale poznano jako krewnego Ruggiera, który był z nim ciągle w Konstantynopolu, a po powrocie Moceniga towarzyszył mu do Wenecji. Ojciec jego zeznał, że wyszedł z domu wieczorem, trzy dni temu, i że zapowiedział, aby go nie czekali, gdyż nie wróci aż za dni parę. Ponieważ i ty twojemu przeciwnikowi zadałeś cios w głowę, poczem ten upadł w wodę, utrzymywano, że on jest właśnie tym utopionym. Ruggiero znowu tłumaczył, że jego nie dotyczy nasze odkrycie, że jego krewny mógł sam porwać moją córkę. Wtedy ja sprowadziłem Maryę i ona pod przysięgą zeznała, że nigdy tego młodego człowieka nie widziała; większość Rady utrzymuje zatem, że był on tylko narzędziem w ręku Ruggiera. Skazano więc tego ostatniego na trzyletnie wygnanie z Wenecji i wysp okolicznych.

— Wolałbym, żeby go wysłano do Konstantynopola — rzekł pan Hammond — bo jeżeli pozwoli mu zostać na kontynencie, to zamieszka o parę mil stąd, a takie sąsiedztwo jest niebezpieczne dla tych, którzy go sobie narazili.

— Ma pan zupełną słusność, ale co do mnie, to postaram się, aby moje córki nie wpadły drugi raz w jego ręce. Zabroniłem im wychodzić z domu po zachodzie słońca, chyba, że sam będę im towarzyszył, powiększyłem zbrojną służbę w pałacu i jestem spokojny, że im nic nie grozi.

— I ja w tej chwili kazałem synowi mojemu wracać do domu przed nocą. Jeżeli będzie w gondoli, to nie mam powodu niepokoić się, gdyż wszystkie łodzie są do siebie podobne, ale obawiam się spotkania w ciemnych zaułkach i wtedy dopiero będę zupełnie pewny o jego życie, gdy go wysię do Anglii.

— Niech go pan nie wysyła tak daleko. Wszystkimby to nam ogólną zrobiło przykrość; musimy pomówić obszerniej o tej sprawie, i może postanowimy coś, co go uchroni od niebezpieczeństwa, a nie oderwie całkiem od Wenecji.

Przez następnych parę tygodni Franciszek był codzien-

nym gościem w pałacu Polanich. Całemi godzinami siadywało młode grono na balkonie i śmiechom i żartom nie było końca. Matteo Giustiniani zwykle towarzyszył Franciszkowi w owych odwiedzinach i coraz bardziej oceniał rozum i niezwykłą szlachetność przyjaciela.

Po południu młodzi jeździli gondolą po kanałach, lecz wracali zawsze przed zachodem słońca.

Dla Franciszka czas mijał jak jedna chwila. Siostry nigdy nie miał, i chociaż znał w Wenecyi mnóstwo rodzin z którymi łączyły jego ojca pieniądze interesa, nigdzie jednak nie był codziennym, oczekiwanym gościem. Wesołość i swoboda dziewcząt zachwycały go w pałacu, zwłaszcza jako przeciwieństwo pewnej powagi i sztywności, którą przybierały płynąc po ludnych kanałach.

— Nie lubię tej Castaldi — rzekł pewnego wieczoru Franciszek, odwożąc Mattea do domu. Castaldi była to ochmistrzyni w domu Polanich.

Zazwyczaj młodzi ludzie nie są w przyjaźni z opiekunkami panien — odrzekł śmiejąc się Matteo.

— Doprawdy Matteo, ja jej seryo nie lubię, i jestem pewien, że i ona mnie nie lubi. Nieraz widziałem, że patrzyła na mnie ze złością.

— Może ci nie przebaczyła, żeś zapomniał ją uratować, kiedy ratowałeś jej pupilki.

— Nie wiem, ale wtedy jej postępowanie wydało mi się bardzo dziwne. Bo rozumiem, że straciła głowę i chwyciła się panien Polani ze strachem, ale to wyglądało jak gdyby je chciała zatrzymać.

— Czyż przypuszczasz, że należała do spisku?

— Trudno rzucić na nią takie podejrzenie, ale przyznam ci się, że nie lubię jej wyrazu twarzy; ma takie fałszywe oczy. Ze usiłowała zatrzymać swoje pupilki w łodzi, o tem niema najmniejszej wątpliwości, i byłoby się jej udało, gdyby suknie nie pękły. A Ruggiero musiał mieć przecie jakiegoś szpiega w pałacu Polanich, otóż ja myślę, że ona była tym szpiegiem i przez nią dowiedział się Mocenigo o godzinie powrotu. Pytałem signorę Julis, dla czego tak późno wracały, gdyż ojciec ich nie lubił ażeby były w mieście o tak spóźnionej godzinie. Ona mi odpowiedziała, iż zwracały na to uwagę swojej opiekunki, ale ona utrzymywała, że jeszcze mają dosyć czasu i że ojciec nie będzie się gniewał. To naturalnie niczego nie dowodzi, ale zestawivszy wszystkie fakta, można powziąć podejrzenie.

— Dziwny zbieg okoliczności, Franciszku, bo trudno dowodzić na pewno, że jest winną. Od kilkunastu lat jest ciągle u mego krewnego, i nigdy nie zawiodła jego zaufania.

— Może być; ale Ruggiero mógł obiecać jej znaczne wynagrodzenie, aby ją skusić. A mając w swoim ręku pannę Polani, niepotrzebował oszczędzać.

— A wiesz co, Franciszku! jeszcze jeden dowód więcej. Dziś żartowałem z signorą Maryą i mówiłem jej, że musiał być okropny hałas, kiedy wszystkie trzy zaczęły krzyżeć. Ona mi na to powiedziała, że krzyżały tylko one dwie, bo opiekunka ich zachowywała się zupełnie spokojnie.

— W takim razie, nie rozumiem jej późniejszego przerażenia, bo przecie sam widziałeś, że się chwyciła sukni pannen Polani i o mało ich nie zatrzymała. Potem znów szło-

chała i łamała ręce; naturalnie wszystkie te dowody nie wystarczą, i nie mam nawet odwagi mówić o tem z panem Polani, ale nie jestem jej pewien i proszę ciebie Matteo, jak wyjadę z Wenecyi, ażebyś dawał na nią baczenie.

— Widzisz, to trudna sprawa — odrzekł Matteo — co najwyżej mogę ostrzedz moje kuzynki, aby wracały zawsze wcześniej do domu, nawet jeżeli im Castaldi pozwoli dłużej zostać. A jeżeli dostrzegę coś podejrzanego, to powiem panu Polani o naszych podejrzeniach, chociaż przyznam ci się, wolałbym nie być do tego zmuszonym. Teraz Ruggiero wyjedzie i mam nadzieję, że się wszystko ułoży.

— A ja myślę że nie, bo Ruggiero nie daruje i nie zechce zaniechać zamierzonej zemsty. Musimy uważać na każdy jej postępek, aby w danym razie przeszkodzić nieszczęściu. Jutro wieczorem spotkamy się w domu signora Polani, do tego czasu namyślimy się czy mamy komuś powiedzieć o naszych podejrzeniach, czy zachować je dla siebie.

Przez całą noc Franciszek rozmyślał o sprawie porwania Maryi i doszedł do przekonania, że niema prawa ukrywać swoich podejrzeń, i że powinien natychmiast uwiadomić o nich pana Polani. Nazajutrz rano przyszedł do pałacu, ale nie zastał ani ojca, ani córek, które wyjechały na cały dzień do znajomych. Wrócił o trzeciej i u drzwi spotkał pana Polani.

— Ty tutaj, Franciszku? czyż zapomniałeś, że moich córek niema w domu?

— Wiem, że ich niema, ale ja chciałbym z panem pomówić. Może się pan na mnie rozgniewa za to, że się wtrącam do cudzych spraw...

— Jestem pewien, że się do cudzych spraw nie wtrącasz, i jeżeli masz mi coś powiedzieć to mów śmiało i bądź pewien, że się nie rozgniewam.

— Chodzi mi tu o signorę Castaldi, w której pan pokłada zupełne zaufanie, i nie dziwnego, gdyż od tylu lat przebywa w domu pana. Matteo jednak i ja, mamy pewne podejrzenia, które postanowiliśmy odkryć przed panem. Tu opowiedział całe zdarzenie i dodał w końcu: Może my się mylimy, ale w każdym razie obowiązkiem naszym było pana uprzedzić i niech mi pan wierzy, że tylko niepokój o panny Polani skłoniły mnie do tego.

— Ani chwili nie wątpiłem o pańskiej przyjaźni, doskonale zrobiłeś mój chłopcze, żeś mi to powiedział. Co prawda nie podejrzywam signory Castaldi i przypuszczam, że to był jedynie zbieg okoliczności, gdyż znam ją od lat dziesięciu, i chociaż ma ona różne wady; jednak dotychczas nie zawiodła nigdy mojego zaufania. W każdym razie jestem ci bardzo wdzięczny za przestrożę i od dziś zwrócę szczególną uwagę na postępowanie ochmistrzyni, a jeżeli dostrzegę coś podejrzanego, to ją natychmiast oddalę.

— Teraz więc mogę odejść spokojnie, gdyż wiem, że pan jest uprzedzony o wszystkim, i że pannom Polani nie grozi niebezpieczeństwo.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Tykwy ozdobne p. Zofię Urbanowską (z drzew.) — Poczekaj jeszcze, wiersz p. M. D. — Losy Adasia p. Zofię Kowerską. — Sprawozdanie z objaśnień obrazka (dokończenie). — Iguanodon (z drzew.) — Benares (z drzew.) — Lew świętego Marka (przekład K. P. z angielskiego G. A. Henty) — Dodatek: Łakomstwo ukarane p. Maryę Weryho. (z drzew.) — Małe zuchy, wiersz p. E. L. — Sobek p. M. D. — Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Orla skała, powieść miss K. Yonge przekład T. O.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою, Варшава 23 Января 1896 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE



Jeż.

ŁAKOMSTWO UKARANE.

W dużej norze wypoczywał sobie lis. Zwinął się w kłębek, oczy przymknął i rozmyślał.

— To się nazywa polowanie!... tak to rozumiem, trzy zajaczki odrazu!... A jak to skakało po polu! ani podejrzywały, że za krzakiem siedzę. Wiedziałem dobrze, że są łakomczuchami: gdy przykucną do jakich soczystych badyli, to już siedzą — na to tylko czyhałem. Cichaczem podszedłem; cap! jednego za szyję, cap! drugiego, trzeciego i wszystkie padły, żaden ani drgnął.

Wszystko byłoby dobrze, ale są tak tłuste, że ledwim mógł je udźwignąć, kilka razy musiałem przystawać.

Swoją drogą sprzątnąłbym i tamtych dwoje, ale pewnie mię wilk uprzedził!... A dobry był zajaczek, mięso miękkie, kostki kruche!... I oblizał się lis parę razy, wspomniawszy smakowitą zwierzynę.

— Wszystko to dobrze — myślał dalej — ale nie znalazłem jednak tego czego szukałem. Mówiła mi matka nieraz, że dużo zwierząt i ptaków wytępiła, ale sma-

czniejszego mięsa nad jeża nie jadła. Co to za mięso być może! No, ale gdzie go znaleźć! już oddawna go szukam i nigdzie napotkać nie mogę. A przecież znaleźć muszę, muszę, choćby mnie to niewiedzieć ile kosztowało.

Zerwał się lis na równe nogi i poleciał. Obleciał pola, obleciał łąki, w lesie błakał się, aż go noc zaskoczyła i musiał do domu wrócić.

Drugiego dnia te same poszukiwania i tak samo na próżno. Tak przeszło kilka dni i lis niby zapomniał o jeżu.

Razu jednego wraca nad wieczorem do nory, a tu widzi idzie potwór jakiś. Głowę i nogi tylko widać, a zresztą same jabłka i liście, do koleców przyczipione.

Lis zabiega mu drogę: to z jednej, to z drugiej strony zachodzi, to naprzód zaskoczy, no i wreszcie poznał. Był to jeż, który na kolecach niósł mnóstwo jabłek i liści. Jeże zwykle tak robią, kiedy chcą przygotować sobie zapasy i posłanie wygodne na zimę.

Aż pisnął z radości, że nareszcie jeża napotkał. Oczy mu się zaiskrzyły jak robaczki świętojańskie.

Jeż tymczasem zobaczywszy nieprzyjaciela, zatrzy-

mał się, najężył kolce, głowę schował i prawie w kłębek się zwinął.

Lis radby go odrazu chwycić, nie z takimi dawał sobie radę — ale co tu z kolcami zrobić! Podnosi więc łapę i mocno uderza zwierzątko.

A jak nie krzyknie z bólu, bo mu kolce strasznie łapę poraniły!

— Cóż ty sobie myślisz, niedołęgo jakiś, nie z takimi stworzeniami jak ty radziłem sobie, zające, gęsi, indyki dusiłem, a tobie darowałbym życie... czekaj!

I przysłała mu myśl przewrócić jeża; zaczyna się mocować, ale jeż trzymał się mocno, a kolce coraz głębiej w ciało wchodziły. Już lis na różne sposoby się brał, wszystkimi łapami próbował i pyskiem nawet dopomagał, nie mógł jeżowi poradzić. Pokrwawiony, zmęczony i zły wrócił do domu.

— Ha — wyrzekł — matka zażartowała chyba ze mnie, a może też jakie inne sposoby miała na jeża, których mnie nie nauczyła, bo oto jestem tylko cały poraniony...

— Nie dość ci było zajączka — zahuczał bąk, przelatujący tamtędy — to kara za łakomstwo twoje na lepsze kąski, gdy pożywienie które masz powinno ci wystarczyć.

Marya Weryho.

MAŁE ZUCHY.

Zima... w szkółce na zegarze,
Zaraz wybić ma dwunasta,
Pojasniały malców twarze;
Ruch, niepokój, wśród nich wzrasta.
Jeszcze trochę, jeszcze chwilę,
A już tłum tych żwawych dzieci
Jak ptaszęta, lub motyle,
W różne strony się rozleci.

Biegną, pędzą małe żaki,
Podwajając krok swój szparki.
Ich rączęta, istne raki,
A ich oczy gdyby ciarki.

Nogi tupią, oczy błyszczą,
Śnieg chwytają drobne śmiałki,
Więc w powietrzu ostro świszczą,
Lecąc zewsząd białe gałki.

Mróz nie szczypie, wiatr nie wieje,
Dla ochoczej tej czeredy.
Toć to w zimie zwykłe dzieje!
Nie daj Boże gorszej biedy.

To nie tchórze, to nie lalki,
Bo z każdego poznasz twarzy,
Że los przetrwa każdej walki,
Jaka w życiu mu się zdarzy.

Tak dziecięca ta gromada,
Zdanie to potwierdza śmieie:
Szczęsny każdy, kto posiada
Zdrową duszę, w zdrowem ciele.

E. L.

SOBEK.

(Dokończenie).

Małe, chłopskie sanki sunęły się prosto drogą.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł Grzegorz.

— Na wieki wieków — odparł przejeżdżający, a tu coś zda się, nieszczęście wam się przytrafiło — dodał za trzymując konika.

— A ino, koniska mi w śnieg pozapadały i teraz ni jak się wydobyć, a tu panicze marzną, o Boże mój, Boże!

— No, no, nie frasujcie się tak, toż z Bożą pomocą damy jakoś radę — pocieszał nieznajomy i spiesznie zapalał latarkę, którą miał przy sobie.

— Dobry człowieku — rzekł drżącym głosem Władzio — nie odmawiajcie nam swojej pomocy, bo inaczej zginiemy w tym lesie!

Chłopek przy świetle latarki popatrzył w twarz mówiącego:

— Aha! toć to ten sam panicz, co to niedawno mówił, że kaźden sam sobie radzić powinien, a coby to panicz począł, żebym to ja teraz tak samo powiedział? Ale to się wie, panicz młody, to tam jeszcze niewiele rozumie, że w życiu człowieka to tak: raz na wozie, raz pod wozem. A już to stary Jan nigdy jeszcze pomocy swej nie odmówił potrzebującym, to dla czego miałby być dzisiaj gorszym.

Na te słowa pocziwego człowieka, Władzio splonął ognistym rumieńcem, poznał bowiem, jak brzydtko postąpił, jak samolubstwo szkaradną jest wadą, i uznając swą winę, przyrzekł sobie pozbyć się jej raz na zawsze.

Nieznajomy tymczasem spiesznie przyprzegnął swe go konia do siwoszków, następnie drągiem podważył sanie i gdy Grzegorz z bicza trzasnął, a cmokać i wiokać począł, niebawem sanie stanęły na drodze.

Podczas gdy furman naprawiał uszkodzoną trochę uprząż, chłopcy dziękowali dobremu nieznajomemu, uznając, ile wdzięczności mu winni. Z rozmowy okazało się, że pocziwy ten człowiek, był to Jan, dawny służący ich ojca, obecnie w sąsiedniej zamieszkały wiosce.

— Niechże was Bóg strzeże nadal od wypadków — rzekł, zabierając się do odjazdu — ja już muszę spieszyć do domu, bo pewnie się tam żona i malec niepokoją o mnie. Oj! mądry to będzie z mego chłopaka kiedyś człowiek — 10 lat mu zaledwie, a już pisze i czyta jak stary — a do nauki rwie się aż strach, tylko ja mu książek i papieru wiele kupować nie mogę, bo to drogie a mnie ledwie stać na chleb codzienny.

To mówiąc, świsnął biczykiem, pochwalił Chrystusa i znikł wkrótce wśród ciemnego lasu. Niebawem też Grzegorz wszystko pouprawiał i ruszył za nim. Długo czas chłopcy siedzieli w milczeniu, aż wreszcie Władzio cichym głosem zaczął coś mówić do brata, który z początku słuchał go zdumiony, jakby niedowierząc, wreszcie przekonany szczerością jego głosu, wziął żywy udział w rozmowie. Widocznie była to kwestya bardzo ważna, nad którą radzili młodzi, bo ani się spostrzegli jak stanęli przed gankiem rodzicielskiego domu

Po przywitaniach i kolacyi nastąpiło wyjaśnienie tak opóźnionego przyjazdu, poczem Władzio ucałował w ręce ojca i makę i rzekł głosem wzruszonym:

— Najdrożsi rodzice, sami uznajecie, że obowiązkiem naszym jest wywdzięczyć się Janowi za jego przysługę, pozwólcie byśmy to sami zrobili. Pieniądze od dziadunia, które dotąd wydawaliśmy na niepotrzebne rzeczy, bo najczęściej na łakocie, godzimy się obadwaj złożyć Janowi, by miał czem opłacić za swego syna w szkołach; pewnie też nic nie będziecie mieli przeciw temu, bym go przez wakacje przygotował do wstępnej klasy.

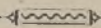
— A ja mamusiu, będę oszczędzał ubranie, żeby więcej dla syna Jana pieniędzy zostało — dodał Zdziś, który niezmiernie prędko niszczył swą odzież.

— Zgoda, zgoda dzieci! — rzekł ojciec — słusznie mówicie, że bez łakoci możecie się obejść, a jeżeli za te pieniądze uszczęśliwicie biednego chłopca, będziecie mieli to błogie zadowolenie, że zdołaliście już coś uczynić dla ogólnego dobra, na co, dla siebie tylko żyjący samolub nigdy się zdobyć nie umie.

* * *

Następnego roku w zapusty, na drodze wiodącej do miasteczka, mknęła para sanek, w nich siedzieli Zdziś i Władzio, a twarze ich wesołe były obrazem prawdziwego zadowolenia duszy, na koźle zaś obok Grzegorza zajmował miejsce trzeci chłopczyk o rumianej, okrągłej twarzyczce, który z troskliwością szczególną tulił do siebie zawiniątko z książkami. Kto nim był, nie trudno odgadnąć.

M. D.



Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przeżyła M. B.

(Dalszy ciąg).

Ale pijak nie dał się zaraz odwieść od powziętego zamiaru, i wsunął się do pierwszego pokoju...

— Oho! Jedli tutaj, widzę jeszcze butelkę wina na stole, muszę skosztować.

— Nie rób tego — rzekł ten, który mówił pierwszy, to wino umarłych, a takiego wina pić nie należy.

— A któż mi zabroni? — rzekł wyciągając rękę do butelki.

— Ja — odparł drugi...

I biorąc butelkę wrzucił ją do komina, gdzie rozbryznięta się na tysiąc części.

— O! zapłacisz mi za to! — wykrzyknął pijak, chcąc się rzucić na towarzysza, ale trzeci zapobiegł temu... wziął zapaleńca pod rękę i przemocą wyciągnął go za drzwi, wszyscy trzej poszli dalej swoją drogą, skręcając na lewo poza domkiem...

— Czy ich już niema? — zapytał cichutko przerażony Iwonek.

— Nie bój się Iwonku, już ich niema, głosy oddalały się coraz więcej.

I rzeczywiście, pijacy powrócili do przerwanej piosenki, której nuta coraz słabiej dochodziła uszu przerażonego rodzeństwa.

— Powracajmy Melciu, tutaj gorzej straszno jak w naszej skale.

— Przedewszystkiem zamknij teraz drzwi i poczekaj chwilkę.

A tej chwilki, Melcia zbytnio przewlekać nie chciała ze względu na przypyły morza, zapaliła też świecę by dalej prowadzić poszukiwania. Zanim wyszli z pokoju ukłękli oboje przy łóżku i zmówili krótki pacierz za duszę matki: modlitwa uspokoiła ich zupełnie i dodała nowej odwagi.

Przeszedłszy do drugiego pokoju, Melcia zajrzała w każdy kącik.

— Masz Iwonku — rzekła — bierz rondel, dwie łyżki, trzy paczki świec, zapalki i krzesiwo... O! i nóż naszego ojca z małą piłą. Połóż to wszystko obok kołdry...

Sama poszła otworzyć spiżarnię... A, co za szczęście! była tam jeszcze duża bułka chleba, pozostała zapewne z uczyty pogrzebowej... Chleb! co za radość dla dzieci. Melcia przypomniała też sobie, że w małej piwniczce obok kuchni musi się znajdować trochę kartofli, i rzeczywiście znalazła ich jeszcze sporą ilość i w dodatku kilkanaście pęczków marchwi.

— Jaką dobrą zupę ugotować będzie można!

— Ale niepodobna zabrać tego wszystkiego... Jednak Melcia napełniła całą spódniczkę i wróciła poraz drugi.

— No i jakże zrobimy Iwonku? Czy będziesz miał siłę uciągnąć, gdy dwa końce kołdry uwiążę ci u pasa, dwa drugie sobie przyczepię? Tym sposobem zrobimy rodzaj worka, włożymy w niego kartofle, bochenek chleba, i zobaczymy czy też to będzie ciężkie...

— A z rondlem, co zrobimy? — zapytał malec.

— Mam doskonały pomysł, włożę go na głowę, zamiast kapelusza...

— Ach! na głowę! to będzie śmiesznie! — zawołał Iwonek; — przymierz Melciu!...

I gdy go Melcia włożyła, pomimo smutnych wspomnień, które ich tu otaczały, i groźącego im niebezpieczeństwa, nie mogli powstrzymać się od śmiechu, na widok tego oryginalnego kapelusza, którego trzonek sterczał w tyle głowy.

— To źle, że się śmiejemy — odparła Melcia — uciekajmy prędko...

Kołdra w formie hamaka, pomieściła doskonale kartofle, chleb, a nawet świece i łyżki. Krzesiwo, zapalki i nożyk Melcia schowała do kieszeni.

Wyszli, z początku wszystko szło dobrze; Iwonek szedł dość prędko... lecz wkrótce zwolnił kroku, mówiąc:

— Jakie to ciężkie, siostrzyczko!

Kilka kroków dalej stanął, oddychając ciężko...

— Odwagi, mój braciszku, już się zbliżamy — pocięła Melcia.

Iwonek postąpił jeszcze kilka kroków, i znów stanął.

— Iwonku, pomyśl tylko co to będzie jeżeli znowy zabierze... a jeśli znajdą kołdrę z tem co jest w niej, domyślą się łatwo, że jesteśmy w pobliżu, to r...

inny tylko my sami przyszlismy po te zapasy do domu... Wprawdzie slady krokow przez przyplyw zatarte zostana; ale wejście do naszej skały, odkrylam wypadkiem, któz nam zaręczy, że kto inny nie odkryje go również... (c. d. n.)

Rebusiku: Warszawa leży nad Wisłą.

Skrzynka do listów.

S Z A R A D A.
przez E. M.

Pierwsze, drugie, skrzydlatych robotnic mieszkania; Trzecie łączy wyrazy, albo całe zdania; W Finlandyi nazwa rzeki wraz, niezbyt szerokiej, Wpadającej do głębin Botnickiej zatoki.

LOGOGRYF.
ułożył Lew z nad Nilu.

Początkowe litery 20 wyrazów utworzą tytuł powieści, drukowanej w Wieczorach w r. zeszłym. Znaczenie wyrazów: 1) Konstelacja w Zodyaku. 2) Miasto we Włoszech. 3) Rzeka w Finlandyi. 4) Król i mędrzec izraelski. 5) W star. Grecyi dowódca ludu. 6) Stolica wschodnia Turkestanu. 7) Król włoski i cesarz francuzki. 8) Największe miasto w Persyi. 9) Przyrząd przenoszący głos ludzki. 10) Miasto nad Olszą u stóp Beskidów. 11) Największy bogactw grecki. 12) Prowincya dawnej Grecyi. 13) Rzeka wyajająca z gór Uralskich. 14) Ptak drapieżny. 15) Ojciec Mastora i Poluxa. 16) Piękny, wonny kwiat. 17) Góra na Kaukazie. 18) Dopływ Bugu. 19) Dopływ Uralu. 20) Bogini egipska. Sylaby: Wo—pa—u—sa—ty—yar—na—i—ae—cie—her—ar—u so—tyn—ró—a—li—i—i—dnik—dwa—lea—lo—ran—kand—po—spa—ro—szyn—ku—ka—fa—kól—dar—za—ra—wiec—lek—zys—mon—le—han—fon—les—dya—rat—on.

KWADRAT MAGICZNY.

ułożyła Terkotka dla Wróbelka

a a d d	Miasto nad Wołgą.
e e e n	Minerał.
o o n r	Raj ziemski.
r t w w	Przysłówek oznaczający czas.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 4-go.

Szarady: War — sza — wianki.

Lamigłótki sylabowej:

- 1) Koło. 2) Motyl. 3) Indyanie. 4) Czerwień. 5) Indyk. 6) Czaplą. 7) Kmicie Oleńka.

S. S. z Witebska dziękujemy za przesłane życzenia, które w każdej świątecznej i nieświątecznej chwili przyjmujemy chętnie, jako dowód życzliwej pamięci. Pragniemy iżby nasza korespondentka tak wdzięczna ojcu za prenumeratę na rok bieżący, z równą zawsze zawsze przyjemnością czytywała Wieczory. Żądane Nr. 13 i 31 oraz Nr. 24 dodatku powieściowego wysłane już zostały, a przy tej sposobności nadmieniamy, iż drobniejsze należności przesłane być mogą w markach pocztowych.

Cieszymy się, że dziewięcioletnia *Werbenku* sama czytuje *Wieczory* młodszemu rodzeństwu, za co też pewnie wdzięcznych ma słuchaczy. Zadość czyniąc jej życzeniu, wysłaliśmy już żądany początek powieści „Orla skała”. Nie możemy tylko uczynić zadość życzeniom siedmioletniej Heli, odgadującej trafnie metagramy, gdyż trudno się domyślić o jakie jej chodzi obrazki?

Nie zwróciłeś na to uwagi *Narcyzie* z Atlanty, że są dwa rodzaje ciekawości, jedna dochodząca prawdy, dla zebrania pożytecznych wiadomości, druga czeza i bezmyślna. Unikaj zatem tego, co może ściągnąć na ciebie podejrzenie tej ostatniej, a bądź pewny, że nie poskąpimy ci odpowiedzi, ilekroć właściwie zadasz nam pytanie. Katalogi wydań gwiazdkowych, o których chcesz wiedzieć znajdziesz nietylko w księgarniach, ale i w pismach peryodycznych zeszłego miesiąca, które ich ocenę podawały. Szaradę twoją przejrzymy.

Dobre rozwiązanie lamigłówek nadesłali: *Rybak z n. Wisły* *wesoła Figlarka*, *figlarna Filutka*, *Wacław* i *Donia W. Myszoškawa* i *Szczurkowska*.

Ciekawy jesteś *Narcyzie* z Atlanty kto jest *Jaskółka* i czy możesz z nią korespondować? Wiadomo z historii naturalnej, że jaskółki należą do rodzaju ptaków wróblowatych, wędrownych, że są towarzyskiego usposobienia, łagodnych obyczajów, że się odznaczają niezwykłą lotnością. Rodzaj ten zawiera przeszło czterdzieści gatunków, a jedna z pośród nich upodobała sobie pobyt w Redakcyi *Wieczorów Rodzinych*, trudni się korespondencyą z młodymi tego pisma czytelnikami, a na ich odezwy odpowiada z ochotą, więc zawsze do niej pisać można.

Nic to nie szkodzi *wesoła Figlarko*, że w jednej sprawie razy kilka do mnie się zwracasz, możemy się bowiem przez to częściej porozumiewać listownie. Wierzaj jednak, że poza roztrzepaniem do którego przyznajesz się z pokorą, grzeszysz maleńką dozą niecierpliwości, skoro nie mogłaś doczekać spokojnie odpowiedzi w której donoszę, że dla brakujących numerów pisma, zgłaszając się do Redakcyi *Mazowiecka 10*, powinnaś podać dokładny adres, pod jakim żądane dodatki mają być wysłane.

Cieszę się *figlarna Filutko*, że choć nieznaną, zjednałam sobie sympatyę twoją, nie masz też powodu obawiać się iżbym odezwy twoje zostawiała bez odpowiedzi, gdyż życzliwe serduszka moich korespondentek są dla mnie silniejszą przynętą, niżeli roje brzęczących owadów, za którymi uganiają się w powietrzu współplemieniczki moje jaskółki; przyszłość okaże czy można na obietnicach moich polegać.

Zalisz się nie bez racyi *Terkotko*, że jedna z nowoprzybyłych korespondentek zabrała oddawna używany przez ciebie pseudonym *Figlarki* i zmusza cię tym sposobem, szukać sobie innego. Poehlebnie to jednak świadczy o zgodności charakteru twego, że nie dochodząc słusznych praw swoich ustąpiłaś dobrowolnie, a sama dobrałaś sobie miano dowodzące zarówno wesołego twego usposobienia. Bodajby dar dobrego humoru, będący przywilejem młodego wieku, służył ci w najpóźniejsze lata! Tego ci życzy wasza:

Jaskółka.